

ARTHUR CONAN DOYLE

**TAJEMNICZY ŻEBRAK ZE  
SWANDON LANE**

THE MAN WITH THE TWISTED LIP

Isa Whitney, brat śp. Eliasza Whitneya, doktora teologii i rektora seminarium duchownego w St. Georgen był wielkim palaczem opium. O ile mi wiadomo, uległ on temu nałogowi przez swą młodzieńczą głupotę, gdy jeszcze był w szkole. Wtedy to czytał opowiadania Quinceysa o jego snach i uczuciach i zaczął swój tytoń nasycać tynkturą opiumową, aby osiągnąć ten sam skutek. Stało się z nim jednak to samo, co z innymi: stwierdził, że łatwiej się do czegoś przyzwyczaić niż odzwyczaić; tak więc przez całe lata pozostał niewolnikiem tej trucizny, a dla swych przyjaciół i krewnych stał się przedmiotem odrazy lub współczucia. Jeszcze go widzę, jak siedzi skulony w swym fotelu, widzę jego żółtą, nabrzmiąłą twarz, senne powieki i źrenice zmniejszone do wielkości główki szpilki — smutną minę szlachetnego niegdyś człowieka.

Pewnego wieczoru — a było to w czerwcu 1889 — o tej porze, gdy człowiek poczyna już ziewać i spoglądać na zegar, pociągnięto za dzwonek przy moich drzwiach. Zerwałem się, a żona moja porzuciła robótkę, którą była zajęta. „Chory” — powiedziała — „będziesz znowu musiał iść”.

Westchnąłem, gdyż właśnie wróciłem z codziennej ciężkiej pracy.

Usłyszeliśmy otwieranie drzwi od przedpokoju, potem kilka prędko rzuconych słów, następnie szybkie kroki po linoleum. Drzwi od pokoju otwarły się i weszła dama ciemno ubrana i w czarnej woalce.

— Wybaczcie państwo tak późną wizytę — zaczęła, tracąc wszelką siłę, a zobaczywszy żonę, rzuciła się jej z płaczem na szyję.

— Ach, jestem w strasznym położeniu — zawołała — i potrzebuję natychmiast pomocy.

— Co? To jest Katy Whitney? — rzekła moja żona, podniosłszy damie woalkę. — Jakżeś mnie przestraszyła Katy! Gdy wchodziłaś, ani nie przeczuwałam, że to ty.

— Nie miałam innej rady, jak przybiec do ciebie.

Była to stara historia; każdy, kto był w potrzebie, biegł do mojej żony, jak ptaki zbłąkane na morzu lecą do latarni morskiej.

— Jak to dobrze, że przyszedłaś. Najpierw wypijesz szklanekę wody z winem, usiądziesz sobie wygodnie i dopiero opowiesz nam wszystko. A może wolałabyś, abym wysłała Janusa spać?

— Nie, właśnie nie! potrzebuję także rady i pomocy lekarza. Chodzi o mojego męża. Od dwóch dni nie ma go w domu, a ja jestem ogromnie strwożona o niego.

Nie pierwszy to raz mówiła z nami o swej trosce o męża, ze mną jako lekarzem, a z żoną jako starą przyjaciółką i powierniczką jeszcze z czasów szkolnych. Pocieszaliśmy ją i uspokajali, jak mogliśmy. Zapytałem, czy nie wie, gdzie się mąż znajduje, i czy będziemy mogli jej pomóc w sprowadzeniu go do domu.

Rzecz miała się tak. W ostatnich czasach — jak się dowiedziała — gdy napadał męża jego chorobliwy pociąg, udawał się do lokalu dla zażywających opium, w najodleglejszej, wschodniej części miasta. Dotąd zwykle trwały te jego orgie jeden dzień, wieczorem zaś chwiejny i złamany wracał do domu. Tym razem jednak już od dwóch dni oddawał się swej namiętności i leżał bez wątpienia wśród wyrzutków żeglarzy, nasycając się trucizną lub przesypiając jej skutki. Tam, w tej „Złotej Szynkowni” na gómej ulicy Swandam, można by go z pewnością znaleźć. Ale jakże to ona robi? Jak wejdzie w takie miejsce młoda, bojaźliwa kobieta, aby wyprowadzić swego męża spośród motłochu, jaki się tam zbiera?

Tak stała sprawa i w istocie było tylko jedno wyjście. Czyja nie chciałbym jej tam towarzyszyć lub — co ostatecznie byłoby lepiej — abym tam sam poszedł? Byłem lekarskim doradcą jej męża i jako taki miałem na niego pewien wpływ. Zresztą sam byłbym o wiele swobodniejszy. Dałem więc słowo, że w przeciągu dwóch godzin przyślę jej do domu męża, przypuszczając, że go rzeczywiście zastanę w oznaczonym miejscu. W dziesięć minut później

byłem już daleko od wygodnego fotelu i pokoju, a jechałem w sprawie, która wydała mi się zrazu nie tak dziwna, jak się to później pokazało.

Pierwsza część mojej wyprawy odbyła się bez trudności. Górna ulica Swandam jest wstrętna, ciągnie się za ogromnymi składami na Północnym brzegu Tamizy, aż na wschód od London Bridge. Jaskinię, której szukałem, znalazłem między jakąś budą tandeciarską a jakąś knajpą; strome schody prowadziły do lochu ciemnego jak noc. Kazałem woźnicy czekać, a sam wszedłem na schody mocno w środku wydeptane przez nieprzerwaną wędrówkę pijanych stóp. Przy migotliwym blasku olejnej lampy, umieszczonej nad drzwiami, znalazłem klamkę i wszedłem do niskiego, długiego pokoju, napelnionego gęstym dymem i zastawionego drewnianymi tapczanami, jak to bywa na okrętach dla wychodźców.

Wśród duszącego dymu ledwo rozróżniłem postaci, które w fantastycznych pozycjach leżały dokoła; jedne z założonymi ramionami, drugie z podgiętymi kolanami, inne z odrzuconą w tył głową i zadartą brodą. Ciemne, bez blasku oczy, skierowały się tu i ówdzie na przybysza. Z niewyraźnych postaci wydobywały się czerwone, małe paski światła, to jaśniejsze, to bledsze, według tego, czy palącą się truciznę wciągano, czy wypuszczano z metalowych fajek. Większość z nich leżała cicho; niektórzy szeptali do siebie, inni cichym, monotonnym głosem rozmawiali, inni jeszcze wypowiadali gwałtownie jakieś zdania i nagle popadali w milczenie; każdy snuł własne myśli dalej, nie zwracając uwagi na mowę sąsiada. Na drugim końcu sali stał mały kocioł z żarzącymi się węglami, a obok niego na trójnogu siedział chudy, stary człowiek. Brodę podparł rękami, łokcie oparł na kolanach i tak pochylony patrzył nieruchomo w żar.

Gdy wszedłem, przeskoczył brudny Malajczyk z fajką i dawką opium, wskazując mi pusty tapczan.

— Dziękuję, nie mam zamiaru tu pozostać — rzekłem. Znajduje się tu mój przyjaciel, pan Isa Whitney, i z nim tylko chciałbym się widzieć.

Nagle poruszyło się coś na prawo i usłyszałem cichy okrzyk. Obejrzałem się i poznałem w dymie Whitneya, który blade, zmieszany, z rozwianymi włosami siedział, patrząc na mnie wytrzeszczonymi oczami.

— Mój Boże! to pan, Watsonie — rzekł. Whitney znajdował się w opłakanym stanie; trucizna jeszcze działała i każdy nerw w nim drgał.

— Która godzina? — zapytał.

— Wkrótce będzie jedenasta.

— A którego dziś mamy?

— Piątek, 19 czerwca.

— Sprawiedliwy Boże! Myślałem, że to środa. Jak pan może tak mnie straszyc? To mówiąc, ukrył twarz w dłoniach i począł głośno płakać.

— Zapewniam pana, że jest rzeczywiście piątek, a pan jest człowiekiem pożałowania godnym. Pańska żona oczekuje pana już od dwóch dni. Powinien się pan wstydzić sam przed sobą.

— Wstydę się. Ale pan się myli, panie Watsonie, boja tu jestem dopiero od kilku godzin — trzy, czy cztery fajki — zresztą nie wiem, bo nie chciałbym trwożyć mojej biednej, kochanej Katy. Daj mi pan rękę. Czy ma pan dorożkę?

— Tak, czeka na dworze.

— A więc skorzystam z niej. Muszę jednak być tu coś winny. Zechciej to pan załatwić. Jestem zupełnie oszołomiony i niezdolny dać sobie radę.

Aby uchronić się od działania wstrętnej, odurzającej pary, szedłem z zapartym oddechem wąskim przejściem między podwójnym rzędem śpiących, szukając gospodarza. Gdy przechodziłem koło chudej postaci na trójnogu, uczułem, że mnie ktoś nagle pociągnął za surdut i cicho szepnął: „Przejdź koło mnie, a potem się oglądnij!” Słowa te doszły wyraźnie do mojego

ucha. Spojrzałem. Mogły one pochodzić tylko od tego starego, a jednak siedział on bez ruchu, bezprzytomny, drżący i zgięty ze starości; jego fajka z opium chwiała się między kolanami, jakby mu dopiero wypadła z bezsilnych palców. Poszedłem dwa kroki dalej i oglądałem się. Musiałem jednak użyć całej siły woli, aby nie wydać okrzyku bezgranicznego zdumienia. Człowiek na trójnogu obrócił się tak, że nikt go prócz mnie nie mógł widzieć. Postać stała się piękną, znikły zmarszczki, matowe oczy odzyskały swój blask, słowem, człowiekiem, który siedział przy ogniu, bawiąc się moim zdumieniem, był nie kto inny, tylko Sherlock Holmes. Skinął, abym się do niego zbliżył, a kiedy zwrócił znowu ku innym swe oblicze, przybrał wyraz bezsilnej starości.

— Holmes! — szepnąłem, w jaki sposób przybyłeś do tej jaskini?

— Mów, tak cicho, jak tylko możesz — słuch mam znakomity. Gdybyś był tak dobry i pozbył się twego nieszczęsnego przyjaciela, to pragnąłbym z tobą trochę porozmawiać.

— Na dworze stoi dorożka.

— Więc odesłaj go do domu. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, bo jest on zanadto osłabiony i znużony, aby sprowadzać dalsze nieszczęścia. Możesz także dać znać przez woźnicę żonie, że mamy razem coś do załatwienia. Zaczekaj na dworze, a za pięć minut będę przy tobie.

Odmówić czegoś Holmesowi było rzeczą bardzo trudną, gdyż prosił on zawsze z największym spokojem i stanowczością. Uważałem zresztą, że z chwilą, kiedy Whitney wsiądzie do powozu, skończy się moje zobowiązanie wobec niego. Czy mogłem sobie życzyć czego lepszego, jak znowu móc współdziałać z moim przyjacielem jakiejś z jego dziwnych przygód, które stały się po prostu treścią jego życia. W paru minutach napisałem kartkę do mojej żony, zapłaciłem za rachunek Whitneya, sam wsadziłem go do dorożki i odesłałem do domu.

— Wkrótce potem wyszedł z jaskini Sherlock Holmes. Przez dwie ulice włókł on się obok mnie z trudem i pochylony. Następnie, rozglądając się naokoło, wyprostował się i wybuchnął serdecznym śmiechem.

— No teraz — rzekł — pewno sobie wyobrażasz, że do wstrzykiwania kokainy i innych słabostek, których nabyłem dzięki szacownej znajomości z tobą, przybyło jeszcze palenie opium?

— W istocie byłem zdumiony, zobaczywszy cię w tym miejscu.

— Nie mniej niż ja, widząc ciebie.

— Szukałem przyjaciela!

— A ja nieprzyjaciela.

— Nieprzyjaciela?

— Tak, jednego z moich nieprzyjaciół albo, lepiej mówiąc, mojej zdobyczy. Słowem, Watsonie, jestem znowu zawikłany w dziwną historię i spodziewałem się w bezmyślnej paplaninie tych hultajów znaleźć klucz, co już nieraz miałem szczęście osiągnąć. Gdybym jednak w tej jaskini został poznany, byłoby już po mnie, albowiem bywałem tam już niegdyś dla swych celów i Malajczyk, łotr-gospodarz, zaprzysiął mi zemstę. W tylnej części budynku znajdują się spuszczone drzwi, w pobliżu legarów Pawła, które mogłyby opowiedzieć straszne historie o tym, co strącono w bezksiężycowe noce.

— Jak to? Myślisz może, że trupy?...

— Tak, trupy Watsonie; bylibyśmy bardzo bogaci, gdybyśmy za każdego biedaka, który tam zamilkł na wieki, otrzymali tysiąc funtów. Jest to najokropniejszy rów morderczy na całym tym brzegu i obawiam się, że St Clair wpadł tu po to, aby się już nigdy nie wydostać. To powiedziawszy, włożył do ust oba palce wskazujące, wydał ostry świst, któremu odpowiedział podobny z pewnej odległości, po czym usłyszeliśmy turkot kół i tętent konia.

— No, jak Watsonie — zapytał Holmes, gdy z ciemności wynurzył się ogromny powóz myśliwski, którego dwie boczne latarnie rzucały złote pasy światła — czy jedziesz ze mną?

— Chętnie, jeżeli mogę ci być w czym pożyteczny.

— Wiemy przyjaciel jest zawsze pożyteczny, tym bardziej, gdy jest człowiekiem pióra. Mój pokój „Pod Cedrami” ma dwa łóżka.

— „Pod Cedrami?”

— Tak, mianowicie w domu St Claira, gdzie zamieszkałem na czas poszukiwań.

— Gdzie leży ten dom?

— Przy Lee w Kent. Mamy przed sobą siedmiomilową podróż.

— Ależ ja dotąd nie wiem o niczym.

— Dowiesz się o wszystkim wkrótce. Siadaj tylko. Już dobrze, Janie; sami będziemy powozili. Masz tu napiwek. Jutro o jedenastej znowu będziecie na mnie czekali. Teraz odejdz, a my naprzód!

Uderzył konia lekko biczem i pomknęliśmy przez nieskończenie długie, ciemne, samotne ulice, które się powoli rozszerzały, aż wreszcie wjechaliśmy na szeroki most, pod którym płynęła leniwo błotnista rzeka. Po tamtej stronie znowu to samo morze domów; nocną ciszę przerywały tylko jednostajne kroki stróżów lub wrzaski spóźnionych hulaków. Ciemna masa chmur zaległa powoli niebo, a tylko tu i ówdzie błysnęła wśród chmur biała gwiazda. Milcząc, kierował Holmes końmi; głowę skłoniwszy na piersi, zatopił się w myślach, podczas gdy ja siedziałem obok niego dręczony ciekawością, jakież to nowy wypadek zajął go tak zupełnie; nie śmiałem jednak przerywać jego rozmyślań. Przebyliśmy już parę mil i dostaliśmy się na zewnętrzny pas will przedmieścia, gdy nagle Holmes podniósł się, wzruszył ramionami i zapalił fajkę z miną człowieka zadowolonego i świadomego, co czyni i co może.

— Dana ci jest piękna cnota milczenia — rzekł, i to cię czyni nieocenionym towarzyszem. Na honor, jest to dla mnie ogromnie cenne mieć kogoś, z kim nie potrzebuję mówić, gdy moje myśli nie są bardzo zachwycające. Właśnie rozmyślałem, co powiedzieć kobiecie, która wyjdzie dziś wieczorem naprzeciw mnie.

— Zapominasz, że nie wiem o niczym.

— Jeszcze jest dość czasu, aby ci opowiedzieć przed przyjazdem do Lee wszystkie szczegóły wypadku. Przedstawia się on śmiesznie po prostu, a jednak nie wiem, co mam począć. Nici jest mnóstwo, nie mogę jednak znaleźć należytego końca. Zestaw sobie więc, Watsonie, jasno i wyraźnie szczegóły, które ci opowiem, a może zabłyśnie światło dla ciebie tam, gdzie dla mnie wszystko jest ciemne.

— A więc zaczynaj.

— Przed kilku laty albo, powiedziawszy dokładniej, w maju 1884, przybył do Lee pan nazwiskiem Neville St Clair, będący według wszelkich pozorów w bardzo dobrych materialnych warunkach. Nabył wielką willę, założył wspaniałe ogrody i prowadził dom pod każdym względem na wysokiej stopie. Powoli zyskał w sąsiedztwie przyjaciół, ożenił się w roku 1887 z córką osiadłego tam piwowara, która urodziła mu dwoje dzieci. Nie miał on określonego zajęcia, brał jednak udział w rozmaitych przedsiębiorstwach i każdego rana wychodził regularnie do miasta, skąd powracał o piątej wieczorem pociągiem nr 14. Pan St Clair ma lat trzydzieści siedem, prowadzi życie porządne, jest dobrym mężem, tklwym ojcem, a wszyscy, którzy go znają, kochają go bardzo. Mogę dodać jeszcze to, że długi jego wynoszą osiemdziesiąt osiem funtów i 10 szylingów, podczas gdy gotówka w banku wynosi dwieście dwadzieścia funtów. Nie ma więc żadnego powodu do przypuszczenia, że miał on jakieś troski pieniężne.

— W zeszły poniedziałek udał się pan Neville St Clair do miasta nieco wcześniej niż zwykle, oświadczając, że ma do załatwienia dwie ważne sprawy i obiecując przywieźć synkowi skrzynkę budowlaną. Tego samego dnia, wnet po odejździe męża, otrzymała jego żona telegraficzną wiadomość, że może odebrać oczekiwany pakiecik znacznej wartości w urzędzie pocztowym towarzystwa żeglugi Aberdeen. Jeżeli dobrze znasz Londyn, to wiesz, że biura tego towarzystwa

znajdują się przy ulicy Fresno, która wychodzi na górą ulicę Swandam, gdzie byliśmy dziś w nocy. Pani St Clair zjadła drugie śniadanie i udała się do miasta, gdzie załatwiła kilka sprawunków, odebrała pakiecik na pocztę i przez ulicę Swandam wróciła na stację kolejową o godzinie czwartej 35 minut. Czy słuchałeś dotąd wszystkiego?

— Wszystko to jest zupełnie jasne.

— Przypominasz sobie może, że w poniedziałek było niezwykle gorąco. Pani St Clair szła dlatego powoli i rozglądała się dokoła w nadziei, że spostrzeże dorożkę, tym bardziej że się jej ta okolica wydawała niezwykle niebezpieczna. Gdy tak szła wzdłuż ulicy Swandam, usłyszała nagle krzyk i stanęła jak martwa z przerażenia, gdyż z okna drugiego piętra spostrzegła swego męża, który patrzył na nią i jakby przyzywał do siebie. Okno było otwarte, tak że wyraźnie mogła rozpoznać jego twarz, która według jej opisu była wtedy niezwykle wzruszona. Gdy tak na nią kiwał, znikła nagle z okna, jak gdyby ktoś za nim stojący porwał go z niepokonaną siłą. Nie uszedł jej uwagi jednak pewien szczegół, mianowicie, że chociaż mąż miał na sobie ten sam ciemny surdut, w którym opuścił dom, to przecież był bez kołnierza i krawata.

Przekonana, że się panu St Clairowi coś musiało przytrafić, wbiegła na schody — albowiem był to właśnie ten dom, w którym mnie dziś w nocy znalazłeś — i przebiegła przez przedpokój, chcąc dostać się na pierwsze piętro; wtem zbliżył się do niej ów Malajczyk, łotr, o którym już wspominałem, i z pomocą Duńczyka, który pełni tam obowiązki pomocnika, wypchnął ją na ulicę. Pełna szalonej obawy i troski chodziła po ulicy, aż wreszcie szczęśliwy traf sprawił, że spotkała na ulicy Fresno kilku strażników, którzy pod wodzą inspektora odbywali obchód. Inspektor wrócił się z nią i dwójgim ludzi i mimo upartego oporu właściciela domu wtargnął do pokoju, w którym pani St Clair spostrzegła męża. Na całym piętrze nie było nikogo, prócz nędznego kaleki, odstraszałającej powierzchowności, który zdaje się tu mieszkał. Tak on, jak i gospodarz zaklinali się, że przez całe popołudnie prócz nich nie było w tym pokoju nikogo. Ich zaklęcia wydały się tak wiarogodne, że inspektor począł już przypuszczać, iż pani St Clair się omyliła, gdy nagle ta z gwałtownym krzykiem pobiegła do skrzyneczki stojącej na stole i zerwała z niej przykrywkę. Wysypało się z niej mnóstwo małych cegiełek budowlanych. Była to zabawka, którą ojciec przyrzekł przynieść do domu.

To odkrycie, jako też widoczne zakłopotanie, jakie okazał kaleka, przekonały inspektora, że sprawa jest poważna. Przeszukano starannie dom i wszystko, co spostrzeżono, wskazywało, że odbyła się tu straszna zbrodnia. Pokój, umeblowany bardzo prosto, sąsiadował z sypialnią, której okna wychodziły na tylną stronę legarów. Między legarami a oknem sypialni znajdowała się wąska droga, która podczas odpływu była sucha, a w czasie przyływu napełniona wodą co najmniej do wysokości pięciu stóp. Okno było szerokie i odsuwane do góry. Przy dokładnym badaniu spostrzeżono ślady krwi na gzymsie, a na podłodze w sypialni były także widoczne pojedyncze krople. Za zasłoną w pokoju mieszkalnym leżały na kupie wszystkie części ubrania pana Neville'a, brakowało tylko surduta. Obuwie, skarpetki, kapelusz, zegarek — wszystko to było zgromadzone bez jakiegokolwiek śladu gwałtu, ale też nie znaleziono nigdzie innych śladów pana Neville'a. Według wszelkich pozorów został on wyrzucony przez okno, gdyż innego wyjścia nie odkryto; podejrzane ślady krwi na gzymsie usuwały nadzieję, że pan St Clair mógł się uratować pływaniem, gdyż właśnie podczas strasznego czynu stan wody był najwyższy. A teraz co do łotrów, którzy jeszcze bardziej wikłali sprawę. Malajczyk był to człowiek o bardzo złej opinii. Ponieważ jednak, według zeznania pani St Clair, stał on na schodach przez kilka sekund po pojawieniu się jej męża w oknie, mógł więc przy dokonaniu zbrodni odgrywać tylko rolę uboczną. Obrona jego polegała na upartym twierdzeniu, że nie wie o niczym. Zastrzegł się przed jakąkolwiek wiadomością o tym, co czyni jego lokator Hugo Boone, i oświadczył, że nie jest w stanie wytłumaczyć, w jaki sposób znalazła się tu odzież zaginionego pana St Claira.

Tyle co do gospodarza. A teraz trochę o kalece, mieszkającym na drugim piętrze tej jaskini. Był on pewnie ostatnim człowiekiem, na którego patrzyły oczy pana Neville'a. Nazywa się Hugo Boone, a każdy, kto przechodzi często przez City [centrum Londynu], zna jego odstrasząco wstrętne oblicze. Jest to zawodowy żebrak. Żeby jednak ująć przed policyjnymi rozporządzeniami co do żebractwa, zajmuje się obok tego drobnym handlem woskowymi zapalnikami. Mała przestrzeń ulicy Threadneedle tworzy z lewej strony niewielki kąt. Tam siada co dzień, ten łotr, zakłada na krzyż nogi i rozłożywszy swój drobny zapas towarów, spogląda tak miłosiernie, że do jego wytłuszczonej czapki leżącej na bruku toczy się deszcz pieniędzy.. Nim jeszcze przeczuwałem, że kiedyś zaznajomię się z powodu swego zawodu z tym hultajem, często go obserwowałem i byłem zdumiony olbrzymim plonem, jaki zbierał w bardzo krótkim czasie. Jego osoba jest tak uderzająca, że nikt nie może go nie zauważyć. Wiecheć czerwono — rudych włosów, blada twarz, zeszecona straszną blizną, która jeden kąt ust podnosi krzywo do góry, szczęki buldoga, para ciemnych oczu, tworzących z barwą włosów dziwny kontrast — oto cechy, odróżniające go od reszty żebraków; odróżniał go też jego dowcip, miał zawsze gotową trafną odpowiedź na każdy żart przechodniów. To jest właśnie ów lokator w znanym ci domu, to człowiek, na którego pan Neville patrzył po raz ostatni.

— Ależ on jest kaleką — rzuciłem. Jakże więc mógłby sam podołać człowiekowi w pełni sił.

— Jest kaleką o tyle, że potrzebuje do chodzenia kuli, zresztą jednak wydaje się silny i dobrze odżywiony. Z pewnością twoje lekarskie doświadczenie nauczyło się, że słabość jednego członka wyrównuje się tym większą siłą drugiego.

— Proszę, opowiadaj dalej.

— Pani St Clair zemdląca na widok śladów krwi, a więc jeden ze strażników odwiózł ją do domu, tym bardziej że jej obecność była zbyt cenna przy dalszym badaniu. Inspektor Barton, który prowadził sprawę, zbadał raz jeszcze wszystko jak najdokładniej, nie znalazł jednak nic więcej, co mogłoby wypadek choć trochę wyjaśnić. Popelniono jednak błąd, że natychmiast nie uwięziono Boona, lecz zostawiono go przez kilka minut na wolności, tak że mógł porozumieć się ze swoim przyjacielem Malajczykiem, wnet jednak błąd naprawiono, żebraka uwięziono i przeszukano; jednak nie znaleziono przy nim nic podejrzanego. Wprawdzie na prawym rękawie koszuli znajdowało się kilka krwawych plam, ale uwięziony twierdził, że pochodzą one ze skaleczenia paznokciem, dodając, że i ślady na oknie stąd powstały, gdyż siedział tam niedawno. Przeczył stanowczo, aby kiedykolwiek widział pana Neville'a, i zapewniał, że jak dla policji, tak dla mego jest rzeczą niezrozumiałą, w jaki sposób odzież dostała się do pokoju. Co do zeznania pani St Clair, jakoby widziała męża żywego przy oknie, to musiało się jej śnić lub zdawać. Mimo głośnego oporu został odesłany na policję, zaś inspektor pozostał, aby obserwować odpływ, który miał dostarczyć nowych wskazówek.

I okazało się, że chociaż w mule nie było trupa samego pana Neville'a St Claira, to gdy wody ustąpiły, znaleziono jego surdut. I jak myślisz, co było w kieszeniach?

— Nie mogę odgadnąć.

— Nie, nigdy nie odgadłbyś. Każda kieszeń była napelniona miedzianymi monetami — 421 całych, 270 półpensów. Nic więc dziwnego, że odpływ nie zabrał ze sobą ciężkiego surduta. Ciało ludzkie — to rzecz inna. Między legarami a domem jest silny wir; łatwo więc zrozumieć, że obciążony surdut pozostał, podczas gdy nagie ciało pochłonęła rzeka.

— Słyszałem, że resztę odzieży znaleziono w pokoju. Czyżby ciało było ubrane tylko w surdut?

— Naturalnie, że nie; ale ten fakt świadczy o czym innym. Przypuśćmy, że Boone wyrzucił pana St Claira z okna tak, że tego ludzkie oko nie widziało — co więc przede wszystkim później uczynił? Musiał naturalnie pozbyć się jego ubrania. Porwał więc surdut, aby go wyrzucić, wpadło

mu jednak na myśl, że jest za lekki, więc będzie pływał. Czas uciekał, a z dołu słychać było już głos pani St Clair, która chciała wtargnąć do mieszkania; może też jego towarzysz, gospodarz, dał mu jakiś znak, że policja jest w pobliżu. Nie było chwili do stracenia. Spieszy więc do kryjówki, gdzie przechowuje uzebrane pieniądze, napycha nimi kieszenie surduta, aby ten mógł się zanurzyć. Wyrzuca go, jak zresztą zrobiłby z innymi częściami ubrania, gdyby nie kroki nadchodzących; zostało mu zaledwie tyle czasu, aby zamknąć okno.

Wszystko to wygląda na dość możliwe.

Musimy na razie opierać się na tych przypuszczeniach, aż znajdzie się coś lepszego. Boone więc, jak mówiłem, został ujęty i oddany na policję; nie można jednak było nic mu wykazać z dawniejszych czasów, co by przeciw niemu świadczyło. Od kilku lat znany był jako zawodowy żebrak, zdawało się jednak, że zresztą prowadzi ciche, nienaganne życie. Tak daleko zaszła sprawa do tej chwili; jeszcze czekają na rozwiązanie pytania, co robił Neville St Clair w jaskini palaczy opium, co się tam z nim stało, gdzie jest teraz i o ile Hugo Boone przyczynił się do jego zniknięcia. Muszę jednak przyznać, że jestem jeszcze bardzo daleko od rozwiązania i że przy całym moim doświadczeniu nic przypominam sobie wypadku tak na pozór prostego, a w gruncie rzeczy przedstawiającego tyle trudności.

Podczas opowiadania Holmesa mineliśmy ostatnie domy przedmieścia, a po obu stronach mieliśmy już zielone zarośla. Przejechaliśmy jeszcze dwie rozproszone wioski, gdzie z niektórych tylko okien błyskało światło.

— Zbliżamy się do See — rzekł Holmes; w tak krótkiej podróży zaczęliśmy o trzy hrabstwa. Rozpoczęliśmy w Middlesex, przebyliśmy koniuszek Surrey, a teraz kończymy w Kent. Widzisz tam wśród drzew migające światło? Pochodzi ono z „Pod Cedrów”, gdzie oczekuje kobieta, która już na pewno usłyszała tętent kopyt naszego konia.

— Ale dlaczego nie zajmujesz się tą sprawą ze swego mieszkania — zapytałem.

— Gdyż stąd mogę zbierać liczne wiadomości. Pani St Clair odstąpiła mi sama dwa pokoje i możesz być pewny, że równie chętnie przyjmie mojego przyjaciela i kolegę. Ogromnie mi przykro, Watsonie, że przybywam bez żadnych wiadomości dla niej. Oto już jesteśmy na miejscu! Hola!

Zatrzymaliśmy się przed dużą willą otoczoną ogrodami. Natychmiast przybiegł parobek, który potrzywał konia. Wysiedliśmy i wąską, wysypaną żwirem ścieżką poszliśmy do domu. Gdyśmy się zbliżyli, otworzyły się drzwi i na progu stanęła drobna blondynka. Ubrana była w lekką jedwabną suknię, ozdobioną koronkami na ramionach i szyi. W powodzi światła, płynącego przez drzwi, uwydatniała się jej postać lekko wygięta naprzód, z jedną ręką na klamce, a drugą wzniesioną jakby z tęsknoty i oczekiwania, z twarzą o badawczych oczach i półotwartych ustach; stojąc tak, wyglądała, jak żywy znak pytania.

— No, cóż jest? zawołała — a gdy spostrzegła, że jest nas dwóch, wydała okrzyk nadziei, który jednak wnet zamarł w westchnieniu, kiedy Holmes wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

— Nie ma dobrych wiadomości?

— Żadnych.

— Ale nic ma i złych?

— Nie.

— Bogu dzięki. Ale proszę wejść; musi pan być bardzo zmęczony po całym dniu.

— Przedstawiam pani mojego przyjaciela, dr Watsona. Był mi on w rozmaitych sprawach bardzo pomocny i szczęśliwy traf zrzucił, że go spotkał i zaznajomił z naszą sprawą.

— Cieszę się, że mogę pana poznać — odpowiedziała, uściskawszy serdecznie moją rękę — proszę tylko wybaczyć, jeśli dzisiejsze przyjęcie pozostawi coś do życzenia; wie pan jednak, jaki cios spotkał nas niespodziewanie.



— Jestem starym żołnierzem, łaskawa pani — a choćbym i nie był, to przecież rozumie się, że nie trzeba żadnych przeproszeń. Będę się uważał za szczęśliwego, jeżeli tylko będę mógł być potrzebnym pani lub mojemu przyjacielowi.

— A teraz, panie Holmes — zaczęła dama, gdyśmy weszli do jasno oświetlonej jadalni, gdzie czekała na nas zimna przekąska — teraz pragnęłabym pana o coś otwarcie zapytać. Zechce pan mi także otwarcie odpowiedzieć?

— Rozumie się, łaskawa pani!

— Niech pan nie bierze w rachubę moich uczuć. Nie jestem ani histeryczką, ani skłonną do zemdlenia. Chodzi mi jedynie tylko o zapatrywanie pana?

— Pod jakim względem?

— Czy pan w głębi duszy wierzy, że Neville jeszcze żyje?

To pytanie zakłopotало Holmesa.

— A więc otwarcie! — powtórzyła.

On usiadł w fotelu, a ona stojąc przed nim, patrzyła badawczo.

— Jeśli mam wyznać prawdę, łaskawa pani, to nie.

— Sądzi więc pan, że nie żyje?

— Tak, tak myślę.

— Zamordowany.

— Tego na pewno nie twierdzę; może.

— A którego dnia mógłby być zamordowany?

— W poniedziałek.

— A więc niech pan będzie tak dobry i wytłumaczy mi, jak to się stało, że dziś otrzymałam od niego list.

Sherlock Holmes skoczył z krzesła jakby zelektryzowany.

— Co? — zakrzyknął.

— Tak, dzisiaj. Uśmiechnięta stała przed nim, trzymając list w ręce.

— Czy mogę przeczytać?

— Naturalnie.

Wyrwał jej z ręki list, wygładził, zbliżył lampę i najdokładniej przeglądał. Wstałem i ja, spoglądając mu przez ramię. Koperta była z grubego papieru, stempel z Gravesend, data dzisiejsza, a właściwie wczorajsza, bo dawno było już po północy.

— Niewprawne pismo — mruknął Holmes. Z pewnością nie jest to ręka męża pani?

— Nie, ale list jest od niego.

— Wygląda tak, jakby piszący musiał się dopiero dokładnie dowiadywać o adres.

— Z czego pan to wnosi?

— Nazwisko — jak pani widzi, jest zupełnie czarne, gdyż atrament sam wysychał. Reszta jest czarno — szara, to znaczy użyto bibuły. Gdyby napisano wszystko od jednego razu i osuszano bibułą, nie wystąpiłby żaden wyraz tak czarno. Piszący napisał najpierw nazwisko, potem nastąpiła przerwa, zanim uzupełnił wszystko adresem, co dowodzi, że przyszło mu niełatwo wysłanie listu, jest to tylko drobnostka, ale właśnie nie ma nic ważniejszego nad drobnostki. A teraz oglądnijmy list. O, jest tu coś!

— Tak, jego pierścień z pieczętką.

— Czy pani jest przekonana, że to pismo męża?

— Tak, jeden z rodzajów jego pisma.

— Jeden?

— Pismo, gdy mu się spieszyło. Jest ono inne od zwyczajnego, ale znam je dobrze.

Na papierze były następujące słowa:

*„Najdroższa, nie obawiaj się. Wszystko będzie dobrze. Zaszła wielka omyłka, która wnet się wyjaśni. Miej cierpliwość.*

*Neville”.*

— Napisany ołówkiem, na półciartce, bez żadnego znaku wodnego! Hm! rzucony do skrzynki w Gravesend przez człowieka, ma brudny wielki palec. Ha! i koperta, jeśli się nie mylę, jest zaklejona przez kogoś, kto pali tytoń. Czy pani jest zupełnie pewną, że to pismo męża?

— Zupełnie. Neville pisał te słowa.

— List ten nadano dzisiaj w Gravesend. Chmury zaczynają się rozjaśniać, chociaż nie można twierdzić, że niebezpieczeństwo już minęło.

— Ale on żyje, prawda, panie Holmes?

— Prawdopodobnie. Chyba, że jest to tylko podstęp, celem wprowadzenia nas na fałszywe ślady. Pierścień nie dowodzi niczego, bo mógł mu zostać zabrany.

— Nie, nie, to jest stanowczo jego pismo.

— Dobrze. Jednak list napisany był już w poniedziałek, a jest dziś dopiero nadany.

— To przecież możliwe.

— Jeżeli tak, to w tym czasie mogło się coś stać.

— Ach, panie Holmes, niech mi pan nie odbiera nadziei. Wiem na pewno, że mu się nic nie stało. Między nami istniał taki związek duchowy, że musiałabym przeczuć, gdyby mu groziło niebezpieczeństwo. Właśnie tego dnia, gdy go widziałam po raz ostatni, zranił sobie palec, a był „wtedy w sypialni; ja byłam w tej chwili w jadalni, a jednak przybiegłam zaraz pędzona nieomylną pewnością, że mu się coś przydarzyło. Jeżeli więc odczuwałam taką drobnostkę, to czyż pan może sądzić, abym nie przeczuła jego śmierci.

— Za wiele już przeżyłem, aby nie być przekonany o tym, że uczucie kobiety więcej jest „warte niż wnioski zimnego rozumu. Do tego jeszcze znalazła pani w tym liście silne poparcie swego twierdzenia. Jeżeli więc mąż pani żyje i nawet może pisać listy, to dlaczegoż się ukrywa?

— O tym nie mam pojęcia.

— Czy nie zostawił pani żadnych wskazówek, gdy w poniedziałek odchodził z domu?

— Nie.

— I bardzo była pani zdziwiona, zobaczywszy go na ulicy Swandam?

— Nadzwyczajnie.

— Czy okno było otwarte?

— Tak.

— Więc mógł zawołać panią?

— Tak jest.

— Jednak — o ile pamiętam — wydał tylko jakiś nieartykułowany okrzyk!

— Tak.

— Który pani wzięła za wołanie o pomoc!

— Tak. Podniósł także rękę.

— Mógł to jednak być okrzyk zdumienia, a podniesienie rąk spowodowane było niespodziewanym widokiem pani.

— I to być może.

— Czy pani się zdawało, jakby go ktoś odciągnął w tył?

— Znikł bardzo nagle.

— Mógł sam odskoczyć. Nie widziała pani nikogo więcej w pokoju?

— Nie, ale ten straszny człowiek przyznał, że tam był, a na schodach stał Malajczyk.

— Słusznie. A czy mąż, o ile pani spostrzegła, miał zwykłe swe ubranie?

— Tak, tylko bez kołnierza i krawata. Widziałam wyraźnie gołą szyję.

— Czy kiedyś mówił o ulicy Swandam?

— Nigdy.

— Nie zauważyła pani u niego oznak zażywania opium?

— Nigdy.

— Dziękuję pani. Są to główne dane, z których wyciągnę coś pewnego. Teraz zjemy wieczerzę i pójdziemy spocząć, bo jutro czeka nas niespokojny dzień.

Wielki, wygodny pokój był już dla nas przygotowany; ja, bardzo zmęczony przygodami wczorajszego dnia, położyłem się zaraz do łóżka. Holmes zaś mógł wytrzymać bez odpoczynku całe dni i tygodnie, dopóki nie rozwiązał problemu, który go zajmował. Oświetlał sprawę ze wszystkich stron, zmieniał to i owo, gromadził niezmiernie materiał dowodowy, aż wreszcie znalazł rozwiązanie lub przekonał się, że dowody są jeszcze niewystarczające. Wiedziałem więc dobrze, że i dzisiaj przygotowuje się do takiego posiedzenia nocnego. Zdjął surdut i kamizelkę, włożył obszerny, niebieski szlafrok i pozbiarał wszystkie poduszki, jakie znalazł na łóżku, sofie i fotelach. Ułożył z nich rodzaj wschodniego kobierca, na którym usiadł, założywszy nogi, i położył przed sobą paczkę tytoniu i pudełko zapalek. Przy mdłym świetle lampy — widziałem go — siedział paląc swą starą fajkę, cichy, nieruchomy, jakby bezprzytomny, z oczami utkwionymi w sufit; błękitne chmury dymu otaczały jego postać, tylko wydatne rysy twarzy były oświetlone. Tak siedział, gdy zbudzony jego wołaniem o wschodnie słońca otwarłem oczy. Jeszcze trzymał w ustach fajkę, jeszcze wił się z niej dym, a cały pokój napełniał gęsty zapach tytoniowy; nie było tylko owej paczki tytoniu, którą widziałem w nocy.

— Nie śpisz już, Watsonie? — zapytał.

— Nie.

— Jesteś gotowy do ранnej podróży?

— Naturalnie.

— A więc ubieraj się. Nikt się jeszcze nie rusza, ale wiem, gdzie śpi parobek, i wnet dostaniemy powóz.

Śmiał się przy tym do siebie, oczy jego rzuciły iskry, słowem zmienił się zupełnie i nikt nie poznałby w nim posepnego myśliciela z ubiegłej nocy. Ubierając się, spojrział na zegar. Nic dziwnego, że się nikt nie ruszał, gdyż było dopiero dwadzieścia pięć minut po czwartej. Zaledwie się ubrałem, gdy wszedł Holmes, oznajmiając, że już zaprzęgają.

— Muszę wypróbować jedną z moich teoryj — rzekł, wciągając trzewiki. Wiesz, Watsonie — według mego przekonania — widzisz przed sobą największego osła w Europie. Zasluguję na takie kopnięcie, żebym stąd zaleciał do Charing Cross. Ale sądzę, że wreszcie znalazłem klucz i do tej tajemnicy.

— A gdzież on jest? — zapytałem z uśmiechem.

— W łazience — odparł. Tak, wcale nie żartuję — ciągnął dalej, widząc moją minę niedowiarka. — Właśnie tam byłem i wziąłem go do torby. Dalej więc, chłopcze, zobaczmy, czy się nada do zamka.

Cichutko zeszliśmy ze schodów i stanęliśmy w jasnym, porannym słońcu. Pojazd stał już gotowy, a półubrany parobek trzymał konia. Prędko wsiedliśmy i skierowaliśmy się w stronę Londynu. Liczne domy po obu stronach drogi były jeszcze ciche i martwe i tylko trochę hałasu czyniły wozy wiejskie, zwożące na targ jarzyny; zresztą całe miasto pogrążone było w śnie.

— Ten wypadek jest pod pewnym względem bardzo osobliwy — rzekł Holmes, popędzając galopem konia. — Byłem ślepy jak kret, ale zawsze lepiej później zmądrzeć niż nigdy.

Wjechaliśmy w ulice dzielnicy Surrey; tu dopiero zobaczyliśmy gdzieś gdzieś jakiegoś rannego ptaszka, wyglądającego zaspanymi oczami przez okno. Przez ulicę Mostu Waterloo dostaliśmy się nad rzekę, następnie skręciliśmy na prawo i stanęliśmy na ulicy Bow. Sherlock Holmes był na policji dobrze znany, więc też obaj strażnicy ukłonili mu się uprzejmie; jeden pottrzymał konia, a drugi wprowadził nas do środka.

— Kto ma służbę? — zapytał Holmes.

— Inspektor Bradstreet.

— A dzień dobry Bradstreet, jak się macie?

Na korytarzu wyłożonym kamiennymi płytami ukazał się wysoki, okazały urzędnik, w urzędowej czapce i mundurze.

— Czy mógłbym zamienić z wami parę słów, Bradstreet?

— Naturalnie. Wejdź no pan tylko do pokoju.

Był to pokój mały, urządzone jak biuro. Na stole leżała ogromna księga, w ścianie sterczał telefon. Inspektor siadł przy pulpicie.

— Czym mogę panu służyć?

— Przybywam z powodu tego żebraka Boona, tego człowieka, wie pan, który jest podejrzany o udział w zniknięciu pana Neville St Clair z Lee.

— Tak, jest tu umieszczony i ma być dalej przesłuchany.

— To mi już powiedziano. Czy jest tutaj?

— Tak, w jednej z cel.

— Czy zachowuje się spokojnie?

— Tak, nie ma z nim kłopotu, tylko jest to straszny brudas.

— Brudny?

— Tak. Ledwo zdołaliśmy go skłonić do umycia rąk; twarz ma tak czarna jak kotlarz. Ale skoro tylko śledztwo będzie w toku, musi się poddać obowiązkowej kąpieli więziennej i, na honor, gdy go pan zobaczy, będzie musiał pan przyznać, że ogromnie jej potrzebuje.

— Chciałbym go zobaczyć.

— Doprawdy? To łatwo uskutecznić. Proszę iść ze mną. Torbę może pan tu zostawić.

— Nie, dziękuję, wezmę ją lepiej ze sobą.

— A więc dobrze. Oto tu, proszę.

Sprowadził nas na dół, otworzył zaryglowane drzwi i zszedł krętymi schodami na białe tynkowane korytarz, na którym po obu stronach widniał rząd drzwi.

— Trzecie drzwi na prawo prowadzą do niego — rzekł inspektor. Te tutaj.

Powoli odsunął zasuwkę i spojrzął przez otwór w górnej części drzwi.

— Śpi — rzekł. Możemy go teraz wygodnie zobaczyć. Zbliżyliśmy się obaj i spojrzeliśmy przez kratę. Więzień zwrócony twarzą ku nam leżał pogrążony w głębokim śnie, oddychając ciężko i powoli. Był średniego wzrostu, nędznie ubrany, stosownie do swego zawodu, a przez dziury potarganego surduta widać było pstrą koszulę. Inspektor słusznie nazwał go nadzwyczajnym brudasem, a jednak i ten brud nie ukrywał jego odstraszałającej brzydoty. Zablizniona szrama biegła szeroką pręgą od oka do brody i wskutek zrośnięcia podciągnęła tak górną wargę, że trzy zęby były odkryte, co czyniło wrażenie ciągłego wykrzywiania się. Gęsty snop rudożółtych włosów spadał mu na oczy i czoło.

— Czyż to nie Adonis? — żartował inspektor.

— W każdym razie potrzebuje umycia — zauważył Holmes. — Ponieważ tego się spodziewałem, pozwoliłem sobie przynieść potrzebne do tego rzeczy.

To mówiąc otworzył swą torbę i ku mojemu ogromnemu zdziwieniu wydobyl z niej dużą gąbkę do mycia.

— Ha, ha! — śmiał się inspektor — co za dowcipny człowiek z pana!

— Proszę bardzo o łaskawe otwarcie tych drzwi, a więzień pokaże nam swoje piękne oblicze.

— Mogę to uczynić — odrzekł inspektor. — Nie przynosi on zaszczytu tutejszemu więzieniu — ciągnął dalej.

Włożył klucz do zamku, otworzył cicho i wszyscy trzej weszliśmy do celi. Więzień nawet się nie ruszył, lecz spał dalej mocno. Holmes wziął dzbanek z wodą, zwilżył gąbkę i dwa razy potarł nią silnie twarz śpiącego.

— Moi panowie, pozwólcie sobie przedstawić pana Neville'a St Claira z Lee w hrabstwie Kent — zawołał głośno.

Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. Twarz człowieka łuszczyła się pod gąbką, jak kora od drzewa. Zniknęła wstrętna bura barwa! Zniknęła straszna szrama i zeszpecona górna warga, która sprawiała odstraszący, złośliwy wyraz twarzy! Silnym targnięciem zerwał Holmes rozczochrane, rude włosy i oto przed nami na łóżku siedział mężczyzna bladej, smutnej i delikatnej cerze; rękami tarł oczy i rozespany spoglądał naokoło siebie. Nagle zrozumiał swe położenie i ukrywając twarz w poduszkach, począł głośno krzyknąć.

— Wielki Boże! — zawołał inspektor — ależ to istotnie zaginiony. Poznaje go z fotografii.

Więzień podniósł się ze spokojem człowieka, który poddał się już swojemu losowi.

— A więc niech tak będzie — rzekł. — A teraz proszę mi powiedzieć, o co jestem obwiniony?

— O usunięcie pana Neville'a St Claira — chociaż właściwie już pan o to nie możesz być obwiniony, chyba żeby sąd chciał wnieść skargę o usiłowane samobójstwo — rzekł śmiejąc się inspektor. — Już dwadzieścia siedem lat służę tutaj, ale coś podobnego jeszcze mi się nie zdarzyło.

— Jeżeli jestem Nevillem St Clair, to oczywiście nie mogłem popełnić żadnego zabójstwa, a zatem jestem tutaj trzymany bezprawnie.

— Nie popełnił pan żadnej zbrodni, ale wielki błąd — rzekł Holmes. — Lepiej by pan zrobił, gdybyś był zwierzył się swej żonie.

— Nie chodziło mi tyle o żonę, co o dzieci — jęknął więzień. — Mocny Boże, one miałyby się wstydić z powodu swego ojca! O, co za hańba! Co ja pocznę!

Wtedy Sherlock Holmes usiadł przy nim na łóżku i przyjaźnie położył mu rękę na ramieniu.

— Gdyby się sprawę pańską oddało sądowi — rzekł — to naturalnie wyszłaby ona na widok publiczny. Jeżeli jednak udowodni pan policji, że nie ma żadnego powodu do wnoszenia skargi, w takim razie cała historia pozostanie tajemnicą i nie dostanie się do dzienników. Inspektor Bradstreet spisze wszystko, co nam pan wyzna, i przedłoży to zeznanie tylko władzy, której należy. W ten sposób nie będzie trzeba oddawać sprawy do sądu.

— Niech panom Bóg to wynagrodzi — zawołał namiętnie St Clair. — Wolałbym więzienie, a nawet śmierć, niż zdradzić swoją nędną tajemnicę i sprowadzić hańbę na moje dzieci.

— Panowie jesteście pierwszymi, którym opowiadam swoją historię. Ojciec mój był nauczycielem w Chesterfield i dał mi znakomite wychowanie. W młodości dużo podróżowałem, następnie wstąpiłem na scenę, w końcu zaś zostałem sprawozdawcą pewnego pisma londyńskiego. Raz zażyczył sobie dyrektor naszego dziennika artykułu o zebraniu w Londynie, zobowiązałem się dostarczyć mu takiego. Był to powód późniejszych moich przygód. Aby zgromadzić potrzebny materiał do artykułu, spróbowałem osobiście zajmować się zebraniem. Jako dawny aktor byłem wtajemniczony we wszystkie sekrety przebierania się, tak że nawet swojego czasu bardzo służyłem z tej sztuki. Talent mój przydał mi się teraz. Wymalowałem twarz, a celem nadania sobie wyrazu wzbudzącego litość narysowałem straszną szramę i

podciągnąłem górną wargę za pomocą wąskiego paska lepkiego plastra barwy ciała. Do tego dodałem czerwoną perukę i odpowiedni strój i tak przygotowany usadowiłem się w najbardziej ożywionej części miasta, pozornie jako handlarz zapalkami, w istocie jako żebrak. Siedem godzin oddawałem się interesowi, a gdy wieczorem wróciłem do domu, przekonałem się ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, że zebrałem aż dwadzieścia sześć szylingów i cztery pensy.

Napisałem artykuł i nie myślałem już wcale o tej sprawie, gdy niedługo potem zdarzyło się, że musiałem wykupić weksel 25-funtowy, podpisany przeze mnie dla przyjaciela. Nie wiedziałem, jak zdobyć tyle pieniędzy, aż nagle wpadła mi szczęśliwa myśl. Przede wszystkim więc poprosiłem wierzyciela o czternastodniową zwłokę, następnie wziąłem urlop na ten czas i jako żebrak, przebrany jak poprzednio, puściłem się na miasto. W dziesięć dni zebrałem pieniądze i zapłaciłem dług.

Możecie sobie panowie wyobrazić, jak mi teraz było ciężko zabrać się do wyczerpującej pracy, przynoszącej mi zaledwie dwa funty tygodniowo, wiedząc, że za pomocą odrobiny szminki mogę, siedząc spokojnie, zebrać do czapki tyle właśnie za jeden dzień. Toczyłem długą walkę z swą dumą i chciwością, aż wreszcie ta ostatnia zwyciężyła. Porzuciłem więc dziennikarstwo i odtąd siadywałem sobie co dzień w kącie, upatrzonym już poprzednio, i wzbudzając swym oplakany wyglądem „współczucie przechodniów, napełniałem swą czapkę i kieszenie miedziakami. Jeden tylko człowiek znał moją tajemnicę. Był nim właściciel nędznej knajpy na ulicy Swandam, gdzie przychodziłem, aby rano przebierać się za żebraka, a wieczorem zamieniać się w zamożnego mieszczucha. Człowiekowi temu płaciłem dobrze za pokój, a więc wiedziałem, że nie zdradzi tajemnicy.

Wkrótce okazało się, że posiadam wcale znaczną sumę. Jest to rzecz trudna do uwierzenia, że każdy żebrak uliczny w Londynie może zebrać rocznie siedemset funtów — a przecież tyle co najmniej wynosił mój przeciętny dochód; nadto muszę dodać, że wiodło mi się nadzwyczaj dobrze, gdyż z czasem zasłynąłem w całym mieście jako człowiek dowcipny, mający na wszystko gotową, a trafną odpowiedź. Mnóstwo miedziaków i srebrniaków przez cały dzień płynęło do mej czapki i było źle, kiedy dochód dzienny był mniejszy niż dwa funty.

Z bogactwem wzrastała chciwość. Nabyłem willę, ożeniłem się i nikt nie przeczuwał, czym się właściwie zajmuję. Moja dobra żona wiedziała tylko, że mam w mieście coś do czynienia, ale ani nie przypuszczała, co by to być mogło.

W zeszły poniedziałek, gdy ukończyłem swą pracę i właśnie ubierałem się w wynajętym mieszkaniu, ujrzałem nagle przez okno moją żonę, która stała na ulicy i ku wielkiemu memu zdziwieniu i przerażeniu już mnie spostrzegła. Wydałem okrzyk zdumienia i podniosłem rękę, aby zasłonić twarz; następnie „wpadłem do gospodarza, błagając go, aby nikogo nie wpuszczał. Na dole słyszałem już głos żony, wiedziałem jednak, że nie dostanie się do mnie. Szybko rozebrałem się, włożyłem swój strój żebraczy, ucharakteryzowałem twarz i nasadziłem perukę. Nie poznałaby mnie nawet własna żona. Ale nagle przypomniałem sobie, że mogą przeszukiwać pokój, a wtedy zdradzi mnie zdjęta odzież. Otworzyłem prędko okno, przy czym jednak rozdarłem sobie ranę, którą zadałem sobie jeszcze rano w domu, w swej sypialni. Następnie chwyciłem surdut, obciążyłem go miedziakami, wziętymi ze skórzanej torby i wyrzuciłem go przez okno do Tamizy. To samo miałem zrobić z resztą odzieży, ale ze schodów słychać już było kroki strażników, zaś w parę minut potem — ku wielkiej mojej uldze — zostałem ujęty nie jako sam Neville St Clair, lecz jego morderca.

Dalszych wyjaśnień już chyba nie trzeba. Byłem zdecydowany zachowywać swą maskę, jak długo się to uda, i stąd to pochodzi moje upodobanie w brudzie. Ponieważ wiedziałem, że żona musi być w strasznej trwodze, dałem Malajczykowi swój pierścień w chwili, gdy nie zwracano

na mnie uwagi, i prosiłem, aby go odesłał do niej wraz z pospiesznie napisaną karteczką, w której ją uspokoilem co do swego losu.

— Tę karteczkę otrzymała dopiero wczoraj — rzekł Holmes.

— Wielki Boże! Co za straszny tydzień musiała przeżyć!

— Policja strzegła gospodarza — wtrącił inspektor — myślę więc, że było dla niego dość trudną rzeczą oddać niepostrzeżenie list na pocztę. Prawdopodobnie polecił to któremuś z majtków, a ten pewno za parę dni przypomniał sobie o liście.

— Tak, tak — potwierdził Holmes — z pewnością tak było. Nigdy pan nie był karany z powodu żebractwa?

— Często, ale cóż mi tam kara pieniężna!

— A jednak z tym musi być raz koniec — rzekł Bradstreet. Jeżeli policja ma milczeć, to nie może dalej istnieć żaden Hugo Broone.

— Przysięgłem to już sobie najuroczyściej.

— W takim razie prawdopodobnie nie będzie się czyniło żadnych kroków w tej sprawie. Gdyby jednak schwytano pana na żebractwie, wyjawimy wszystko. Panu Holmesowi winniśmy wielką wdzięczność za wyjaśnienie sprawy. Bardzo chciałbym wiedzieć, w jaki sposób dochodzi pan do swych osobliwych wniosków?

— Do tego ostatniego doszedłem, siedząc na pięciu poduszkach i wypaliwszy wielką porcję tytoniu. A teraz, Watsonie, pojedziemy na Baker Street, a myślę, że trafimy właśnie na śniadanie.